Nr. 2. Kraków, Luty 1919. Rok XIII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 4 K półrocznie 2 K.
Cena egzemplarza wynosi 40 halerzy.

TRESC NUMERU II-go:

Matka Boża Gromniczna.

Jeden z naszych religijnych poetów XIX-go wieku, Odyniec, powiedział:

Bo w krzyżu jest matki oręż i zbroja;
przezeń pokusę i boleść odpiera,
cierpi spokojnie i mężnie umiera!

I zaprawdę, gdyby szło o stwierdzenie, na czem prawdziwe macierzyństwo polega, trudno króccej i dobitniej wyrazić nad to, co powiedział poeta; w krzyżu jej potęga, broń i źródło wpływu na rodzinę. Krzyż, cierpienie, czyni niewiastę matką — jego ostrze rzeźbi w niej piękne kształty poważnej żony i miłującej matki — krzyże codziennych trosk, nieprzespanych nad kołyską dziecka nocy, ciężkiej nieraz pracy przemieniają swobodną niegdyś dziewczynę w bohaterską matkę, której rysy dziecko w długie lata z rozrzewnieniem wspomina. Taką matkę, idealmatkę stawia nam przed oczy uroczystość Najśw. Maryi Panny Gromnicznej. Bo ewangelia przeznaczona na to święto opowiada o pierwszej boleści Matki Zbawiciela, o boleści, za którą poszły później inne, a które Jej tytuł „Królowej męczenników" zdobyły.

Było to mianowicie w 40-tym dniu po Naro-

dzeniu Pana Jezusa. Prawo Mojżeszowe nakazywało niewiastom żydowskim w tym dniu poddać się ceremonii oczyszczenia. Najśw. Marya Panna, choć nie obowiązana do jego spełnienia, bo Boże Dziecię poczęła z Ducha św., jednak udaje się do Jerozolimy, stawia się w świątyni, wykonuje przepis starozakonny. Nie koniec jednak na tem. Przy wyjściu z niewoli egopskiej ocalił Bóg pierworodnych synów żydowskich od śmierci, którą zesłał na synów egipskich; w zamian za to zażądał, by każdy pierworodny syn żydowskich rodziców był oddany na służbę Bożą; później jednak wyznaczono pokolenie Lewi do tego celu, wobec tego pierworodni byli wolni, natomiast rodzice winni byli złożyć dar odpowiedni. I to jest drugi także cel przybycia Najśw. Maryi Panny do Jerozolimy. Nie wykupywać jednak Ona chce Syna, ale wielkodusznem uczuciem ofiarować Go Bogu do celu najświętszego — zbawienia rodzaju ludzkiego. Przeczuwająca więc, że Jej przyszłość cierpieniem a ofiarą będzie, wstępuje Najśw. Panna Marya na stopnie prowadzące na dziedziniec okalający świątynię; tutaj miała swój skarb najcenniejszy złożyć Ojcu Niebieskiemu. Obok Niej stąpa Oblubieniec, św. Józef, ten, który tylu dziwnym rzeczom miał się dziwić, zapatrzony w Boską Dziecinę, na ręku Matki spoczywającą.

Lecz oto do nadchodzących starzec się jakiś zbliża — jaśniejące jego oblicze mówi, że radość, błogość jakaś serce mu rozpiera. To jeden z wielu stęsknionych do Mesyasza pobożnych Izraelitów. Dojrzał Go już, więc spieszy, by je w dłonie ująć, nacieszyć się widokiem Boga w ludzkiem ciele. Doczekał się chwili, którą wielcy prorocy przepowiadali, której tysiące pragnęły; dobiegł już lat sędziwych w tem czekaniu, lecz teraz szczęśliwy, może już odejść ze ziemi, już mu dość nagrody za wytrwałą tęsknotę za Zbawicielem. Lecz nie może się powstrzymać, by nie wejrzeć z podziwem na Tę, która Matką Mesyasza być zasłużyła, by nie uwielbić Tej, co współodkupicielką ma być ludzkości. Co Jej powie? Co Bóg w jego prorocze usta włożył — jakie słowa: „A duszę Twą własną miecz przeszyje!“ Nie ugięła się pewnie przerażeniem wola Panny Maryi pod tchnieniem tej przepowiedni! Nie! Przeznaczeniem matki nigdy podobno nie było zażywać błogiego pokoju — troska o dziecko zawsze zasępia jej czoło i zmarszczki na niem ryła. Tem więcej Matka Mesyasza, co według proroków miał być bolesną ofiarą, jak robak deptaną, ma Swojem sercem objąć Jego smutki i mękę, siłą macierzyńskiego odczucia ma je piastować powiększone, głębiej raniące. Słowa starca są raczej dla Maryi umocnieniem, że widać tak Bóg chce, by Jej ofiara była wielką, zupełną.

Więc popłynęła z Jej duszy rzewna, gorąca modlitwa Matki, oddającej Syna na spełnienie wielkich zamiarów Bożych. Wyrzeka się tego, co każda matka w najgłębszych tajnikach duszy przechowuje — marzenia, że ujrzy swe dziecię w pokoju, zadowoleniu — że, gdy odchodzić będzie z tej ziemi, blask jego szczęścia rozjaśni smutek rozstania; natomiast gotowa przyjąć przyszłość chmurną, bolesną, spełnić te obowiązki, choćby i najtwardsze, jakie Jej przypadną. I tak pełna powagi, świętej rezygnacyi opuszcza świątynię, by się spełniło Symeonowe proroctwo, by z Synem współcierpieć dla wybawienia ludzkości — gotowa złożyć ofiarę wymaganą przez Boga.

Wiemy, jak ściśle spełniło się słowo starca owego w świątyni, miecz siedmiu boleści przeszył Serce Matki Syna Bożego. Patrząc na Jej życie, śledząc jego cierpienia, malujemy sobie Jej obraz, obraz Matki Boleściwej i zarazem podziwiamy wytrwałość niezłomną wśród przeciwności, cierpliwość niezachwianą przez ogrom krzyżów. A mimowoli rodzi się przekonanie: takiemi winne być i nasze matki. Tasama nieugiętość woli i wytrwałość powinny być ich cnotami, zdolność do ustawicznej ofiary winna rozpłomieniać ich serca.

Jeden z angielskich pisarzy (Lilly) powiedział: na kolanach matki wyrabia się charakter mężczyzny. Jest to prawda — macierzyńskie serce i ręka tworzą charakter dziecka, charakter młodzieńca. Zasadnicze cechy tego charakteru trwają potem całe życie. Matki nasze powinny zatem całą pracę swoją i wszelki wysiłek włożyć w uformowanie duszy swoich dzieci. Nie braknie przytem cierpienia, owszem, może całe życie matki będzie cierpieniem dla dziecka; nie powinno to jednak naszych matek zrażać. Niech wpatrzą się w prześwięty a bolesny wzór Matki Boskiej Gromnicznej, tej, której Serce przeszył

-niecz boleści, a zaczerpną wiele otuchy i siły i nie ulękną się krzyża, złączonego zawsze z wychowaniem dzieci. Niech pamiętają, że

W krzyżu jest matki oręż i zbroja —
przezeń pokusę i boleść odpiera,
cierpi spokojnie i mężnie umiera.

J. P.

O socyalistach i socyalizmie.

Patrzę na dzisiejszą robotą socyalistów. Widzę, jak gonią po wsiach i miastach, szczując przeciwko t. zw. burżujom, przeciw panom, księżom i tym z ludu, którzy nie chcą zapisać się do nich. Widzę, że oni szerzą okropną demoralizacyę, że rozdmuchują namiętności i żądze. Gdzie oni weszli do wsi, tam odrazu mamy piekło. Ileż grzechu wnoszą socyaliści w nasz polski, katolicki ludek przy każdych wyborach! Prawda, mogą się tu i ówdzie znaleźć stronnicy innych partyj politycznych, którzy również nie przebierają w środkach. Socyaliści robią to najczęściej, jest to u nich regułą i przykazaniem. Wszak wiemy wszyscy, że tak jest.

Zastanawiałem się nieraz nad tem i bolałem szczerze. Bo każde wybory, to jakby moralna zaraza, która psuje dorobek długich lat księdza. Jest nieraz proboszcz najlepszy i najzacniejszy, co posiwiał w pracy nad swemi owieczkami i co miał w parafii powszechne zaufanie — lecz oto przychodzą wybory, parafia się rozbija na części wrogie sobie, ksiądz staje się przedmiotem napaści i wygadywań, walka o zdobycie głosów nie liczy się z moralnością, kwitnie przekupstwo, pijaństwo. Po wyborach ksiądz widzi, że owieczki jego są to już ludzie inni, ludzie, co mu nie ufają, ludzie zdemoralizowani. Najwięcej demoralizacyi wnosi na wieś socyalizm. Tak było dawniej, tak jest także dzisiaj. Wszak wszyscy wiemy, że tak jest.

Myślę, jakby temu zapobiedz? Coby należało uczynić, aby wybory nie wprowadzały zamętu do parafii? I myślę sobie naprzód, czy przypadkiem nie dałoby się zaradzić złemu przez to, żeby ot, poprostu, ksiądz przystąpił do stronnictwa socyalistycznego? Socyaliści mieliby w nim swego zwolennika, byliby pewni swego wpływu we wsi, walk i namiętności wiecowych nie byłoby wcale, wybory przeszłyby względnie dobrze.

Możeby to było istotnie najlepsze rozwiązanie sprawy? Trzeba to jednak rozważyć należycie. Zastanawiam się więc nad tą sprawą, myślę o niej głębiej, badam ją z tej i z owej strony. Czy ja, ksiądz katolicki, mógłbym z czystem sumieniem przystąpić do socyalistów, tak, jak z ręką na sercu przystąpić mogę do wielu innych stronnictw? Zadaję sam sobie to pytanie i w odpowiedzi na to widzę kilka rzeczy — niezbitych, pewnych i jasnych.

Pierwsza z nich jest ta, że socyaliści zajęli wobec nas księży stanowisko nieprzejednanie wrogie. Nie zdarzyło mi się czytać w ich dzienniku pochwały dla księdza. Przeciwnie, gdziekolwiek i kiedykolwiek księdzu potknie się noga, już sprawę biorą w swoje ręce i wyszydzają za to ogół księży, uciekając się często do kłamstw i naciągań. Jeżeli jest gdzieś socyalista — ale socyalista prawdziwy, z przekonania, z przywiązania do socyalistycznego programu — to jest on temsamem wrogiem księży, wygaduje na nich, szkaluje ich, rzuca kłamstwa i oszczerstwa na nich. Nie chcę tutaj wcale przesadzać, chcę patrzeć na rzeczy tak, jak one są w rzeczywistości — i wiem, że między socyalistami mogą się znaleźć ludzie dobrzy i uczciwi, którzyby kamienia na księdza nigdy podnieść się nie ważyli. Sam takich znam pomiędzy nimi. Wiem jednak także, że należą oni do socyalistów dlatego, że poprostu muszą — inaczej bowiem stracilibyy pracę we fabryce, a więc należą do nich dla zarobku, dla chleba, nie zaś z przekonania. Albo też są to ludzie, którzy dla braku należytego wykształcenia nie zdają sobie sprawy z konsekwencyi, jakie socyalizm za sobą pociąga. Wiem zatem dobrze, że tu lub ówdzie znaleźć mogę socyalistę uczciwego — nie zmienia to jednak w niczem tego, co powiedziałem o socyalistach w ogólności. Ogół socyalistów, zwłaszcza ta ich część, co im przewodzi, zajęła wobec nas stanowisko zdecydowanie wrogie. Ksiądz u nich, to coś, co trzeba usunąć, co trzeba zgładzić z powierzchni ziemi, to wróg ludu, nieprzyjaciel biednych robotników, który wyciska z nich grosz, nigdy nikomu nic nie dając.

Myślę o tem — i boleję nad tem. Bo ja rozumiem, że nie wszyscy księża są dobrzy. Rozumiem, że między nami, księżmi, jeden jest lepszy, drugi mniej dobry, jeden stoi wyżej, drugi niżej i że zdarzają się wypadki, że jest gdzieś ksiądz, który dopuszcza się rzeczy, niegodnych sukni kapłańskiej. Wiem o tem dobrze i takich księży, moi drodzy, nigdybym nie bronił, sam ich potępiam razem z wami. Niebym też nie miał przeciwko socyalistom, gdyby oni potępiali takich naprawdę złych księży. Ale niestety! oni potępiają wszystkich księży bez wyjątku i wszystkich uważają za wrogów ludu biednego, robotniczego. A p r z e c i e ż t y l u k s i ę ż y j e s t d o b r y c h, świątobliwych i cnotliwych! — Bogu dzięki, nie mamy już dzisiaj tych dawnych józefińskich proboszczów, co słuchali więcej rządu wiedeńskiego, niż papieża i co dość gnietli lud. Czasy dzisiaj — ogółem biorąc — niesłychanie się zmieniły i to zmieniły na lepsze. Mamy całe

zastępy księży, pełnych zapału i gorliwości, pracujących nietylko w kościele, lecz także oddanych pracy społecznej, pracy oświatowej, wychowawczej, nawet gospodarczej poza kościołem i dla dobra swojego ludu. Tworzą się związki i organizacye, ruch i życie na wszystkich prawie polach, a rękę trzyma na pługu ksiądz. Nie chcę przesadzić w niczem i nie przesadzam. Odwołuję się do was samych, wy, ludzie nieuprzedzeni, co rzeczy osądzacie tak, jak one są. Otóż nigdy nie zdarzyło mi się spotkać socyalistę, któryby podniósł zasługi, położone przez księdza w pracy nad ludem. Pamiętam raz tylko, jak „Naprzód" pochwalił księdza Stojałowskiego — lecz wtenczas dopiero, gdy ksiądz Stojałowski już był w trumnie. Dopóki zaś żył, to „Naprzód" rzucał się na niego z całym jadem nienawiści. Wobec takiego stanowiska socyalistów, jakże ja, ksiądz katolicki, mógłbym do ich stronnictwa przystąpić? O tę ich nienawiść ku księżom rozbiła się moja chęć wstąpienia do ich partyi. Nie występują oni przeciw temu lub owemu niedobremu księdzu, ale przeciw nam wszystkim wogóle, przeciw całemu stanowi kapłańskiemu, powiem nawet, że w ostatnich konsekwencyach występują oni przeciw samej instytucyi kapłaństwa, ustanowionej przecież, jak wszyscy wiemy, przez Pana Jezusa. W każdym razie występuje w ten sposób socyalizm, jako taki, a co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości i nikt tu nie powinien się łudzić. Może tej sprawy tak jaskrawo dzisiaj nie przedstawiają socyaliści, może tego tak obecnie nie stawia sam „Naprzód", bo wie, że oburzyłby nasz lud tak dalece, że socyalista nie mógłby się pokazywać na wsi — ale to pewna, że tak tę sprawę pojmuje i do tego dąży nauka socyalistów, ich zasadniczy program. Powiadają oni, że religia jest rzeczą prywatną, że oni nic nie mają przeciwko niej, chcą jeno, aby się ksiądz do niczego nie mieszał. Z drugiej strony mówią oni, że chcą zaprowadzić wolność i równość wszystkich. Mój Boże! ślicznie wygląda wolność socyalistyczna, w której religia Jezusa Chrystusa niema swobody, a księdzu nie wolno się mieszać do życia publicznego. Przecież każdy ksiądz jest obywatelem, a jako obywatel, już nie jako kapłan, lecz jako prosty obywatel ma prawo dążyć do tego, żeby życie publiczne, państwowe, narodowe było przeniknięte zasadami chrześcijańskiemi. To jest prawo księdza-obywatela, to jego obowiązek największy, najświętszy. Ma się o to starać, ma o tem pouczać, ma nad tem pracować, musi o to walczyć. Biada mu, gdy tego zaniedba. A socyaliści tego właśnie nie chcą ścierpieć i rzucają się z całą wściekłością na niego, chcieliby go zniszczyć, zgładzić z powierzchni ziemi. I pod tym właśnie względem — nie mówię o innych względach na razie — socyalizm jest nieprzejednanym wrogiem już nie samych księży, ale religii chrześcijańskiej, ale Jezusa Chrystusa, ale Boga. Bo oni mówią, że religia nasza może sobie istnieć gdzieś prywatnie, gdzieś w kącie, ale jej nie wolno iść dalej na światło dzienne, nie powinna się ona mieszać do szkoły publicznej, do sądu, do urzędów, do sejmu i do spraw krajowych. Nauka zaś Pana Jezusa, religia zaś nasza jest taka, że ona z istoty swojej dąży do opanowania wszystkich dziedzin życia ludzkiego, do opanowania całej naszej duszy — religia nasza z istoty swej jest rzeczą publiczną. Kto jej chce pozbawić tej siły, kto ją wyrzuca z życia publicznego, ten jest wrogiem religii, wrogiem Chrystusa, wrogiem Boga, a temsamem być musi wrogiem księdza.

I oto, cóż ja, katolicki ksiądz, mam czynić? Chciałem z nimi zgody, myślałem, że ta zgoda nastąpi, gdy do ich partyi wejdę — tymczasem to jest niemożliwe. Musiałbym się wyprzeć Chrystusa Pana. Socyalizm bowiem zasadniczo jest nieprzychylny religii. Między mną, pomiędzy nami księżmi, pomiędzy nauką Chrystusa, jaką głosimy — a między socyalizmem jest niezgłębiona przepaść. I oto, dlaczego ja do nich należeć nie mogę nigdy. I żaden ksiądz jeszcze do nich nie przystąpił. A, moi kochani, przecież nie powiecie, że wszyscy jesteśmy niedobrzy? Żaden ksiądz do nich przystąpić nie może... prócz takich księży, co zerwali z Kościołem. Taki ksiądz wyrodny, co zerwie z Kościołem, odrazu przystępuje do socyalistów i oni go przyjmują, oni podnoszą go w oczach świata, zwą bohaterem. Było wiele, wiele takich wypadków nawet w ostatnich czasach. Między mną, między katolickim księdzem, a socyalizmem niema zgody — a jest i musi być walka, walka aż do ostatniego tchu. Boli mnie, że tak mówię, bo chciałbym zgody — a jednak mówię to, bo wiem, że gdybym inaczej mówił, byłbym nieuczciwym, kłamcą.

Nie cierpią mnie socyaliści, bo jestem katolickim księdzem. Nie znoszą mej sutanny, wściekli są na mnie, przezywają mnie wrogiem ludu. Ale żydków, to oni lubią, oj za bardzo lubią. Żydki, to nie wrogowie ludu! Socyalizm wymyślił przecie żydowski mózg Marxa, ojcem socyalizmu jest żyd. Z żydem to oni się zgodzą, żydowi podadzą rękę. Umieją oni żyć w przyjaźni i „sztamę" trzymać z karczmarzem po wsiach i miastach, co szerzy pijaństwo i rozpustę. Umieją żyć z żydem fabrykantem i kapitalistą, co ma miliony w kieszeni, co dusi i gniecie biednego robotnika. To są ich przyjaciele — znalazł swój swego — ale ksiądz, to wróg, to nieprzyjaciel.

Oto nasz socyalizm. Odsłoniłem wam go troszeczkę tylko. Żeby jego brzydotę okazać w całości, trzebaby dużo, dużo pisać. Może sobie

o tem jeszcze pomówimy. Teraz wam pokazałem jedną jego stronę tylko. Pisałem prawdę. Przysięgam wam w imię Boga, że to, co tu napisałem, jest prawda i że dlatego ja z socyalizmem muszę walczyć. Dlatego też i wy sami musicie z nim walczyć, jeśli macie Boga w sercu.

(s).

Andrychowianom.

Więc odbył się u was, kochani moi, wiec? wielki, parotysięczny wiec. Przyszliście na niego, tak mężczyźni, jak kobiety; przyszliście tłumnie, zaległiście wielką masą dziedziniec magistracki i czekaliście ciekawi, co wam na nim powiedzą i kto do was przemawiać będzie? Udaliście się na wiec taką dużą falą dlatego, że odbywał się on pod hasłem chrześcijańsko-ludowym.

Przyszli na wiec także socyaliści. Nikt ich nie prosił, nikt ich nie wołał do Andrychowa. — Obchodziliście się bez nich dotąd i dobrze wam było wszystkim. A jeśli było źle, to dlatego, że źle było wszystkim. Nie było u was ani ... o czerwonej szmacie socyalistycznej — na palcach możnaby policzyć tych, co z pośród was hołdowali czerwonym mrzonkom i co do księdza odnosili się niechętnie. Obchodziliście się tedy bez socyalistów dotąd i oni bez was się obchodzili. Nie dbali oni o was, nie troszczyli się oni o was zupełnie. Ani im przez głowę nie przeszło, aby polepszyć dolę jakichś tam Andrychowian! Wy wiecie o tem sami bardzo dobrze. Skądże tedy naraz przyleciało ich na wiec aż 30? Przyszli z Wadowic, a jeden zjechał aż z Krakowa — skądże to naraz taka dbałość o was? Dotąd was nie znali — skądże mają to prawo, aby się przedstawiać za naszych przyjaciół?

Lecz nie wiedzieli oni, z kim mają do czynienia. Nie wiedzieli, że drogi, kochany lud andrychowski, ma wielką wiarę i wielką miłość ku Kościołowi. Nie znali tego ludu. Gdyby go byli znali, noga ich nie byłaby tam postała. Tyś, ludu drogi, odrazu poznał, że ci panowie, że tych 30, to są wilki w owczej skórze. Rozgniewałeś się świętym gniewem i zakrzyknąłeś, aby ich bluźnierczy a obłudny głos nie plamił twego czystego powietrza. I zamknąłeś im gębę na cztery klamki — nie jakąś bitką, ale niezłomną swoją wolą. Stałeś się przez to dobrym przykładem całemu ludowi polskiemu. Cały lud polski powinien czynić, jak ty uczyniłeś.

Uczyniłeś to zaś dlatego, bo ty wiesz, gdzie jakich masz przyjaciół. Wiesz, że masz ich w twych pracownikach - kapłanach, w tych, co od szeregu lat chwytali za pług i orali na niwie twojej duszy. Ty wiesz, że oni ci założyli stowarzyszenie „Oświatę", że ją prowadzili i prowadzą — nie dla swej korzyści, ale dla ciebie, ludu i dla Pana Boga. Twoja „Oświata" — to pierwsze dziś stowarzyszenie w dyecezyi krakowskiej, a może, może w Polsce. Ty wiesz dobrze, że kapłani twoi założyli dla twoich dorastających chłopców stowarzyszenie w Targanicach, Roczynach, Sułkowicach i w samym Andrychowie stowarzyszenia robotnicze. Ty wiesz o tem, kto urządza od czasu do czasu wyjazdy do twoich Kółek rolniczych i Kółek Apostolstwa Modlitwy, ty wiesz, ty pamiętasz, kochany ludu andrychowski, że kiedy cię w czasie wojny wszyscy opuścili, kiedy socyaliści pokryli się po mysich dziurach, podlizując się wiedeńskim i berlińskim urzędnikom, kłaniając się cesarskim wielkościom — to ty pamiętasz, ludu, że znalazł się tylko jeden ksiądz, twój prawdziwy przyjaciel, który wyjechał do Styryi, gdzie więzili niemcy twe dziewczęta i przywiózł je po wielkich trudach i zachodach osobnym pociągiem w liczbie 500! Ty to pamiętasz, drogi ludu. Ty tego nie możesz zapomnieć.

A jeśliby kto z was zapomniał o tem i poszedł za socyalistami, ten niema serca, niema wdzięczności, a człowiek bez wdzięczności jest podły. Lecz na wspaniałem wiecu ty pokazałeś, ludu, że jesteś szlachetny, że księży uważasz za swych przyjaciół i że z nimi jesteś, z nimi będziesz i za nimi pójdziesz. Pokazałeś, że o twoją wolę, jakby o granitową skałę, rozbiją się zakusy socyalistów. I dlatego, kochany ludu, dziś ci za to posyłam nasze serdeczne „Bóg zapłać".

Czy katolik może być socyalistą?

Pytanie to jest bardzo ważne z tego względu, że socyaliści wciąż z uporem twierdzą, że oni nie mieszają się do religii, że religię uważają za rzecz prywatną. Jest to zdanie obłudne i nieprawdziwe. Każdy szczerze wierzący katolik widzi, że mimo wszystkich zapewnień ze strony socyalistów, szerzą oni działalność antyreligijną, szerzą niewiarę — przez broszury, przez zebrania i wiece, wreszcie przez swoje pisma, gazety. Ostrzegamy naszych kochanych Czytelników przed grożącem im niebezpieczeństwem. Zdarzyć się bowiem może, że który z nich styka się blisko z socyalistami i mówi, że oni nic przeciw Bogu nie mówią. Powiadamy na to, że tu i ówdzie ci lub owi socyaliści może i nie mówią nic przeciw naszej wierze — ale ogół socyalistów jest religijnie zaniedbany i niedowiarstwem przesiąknięty, ale zwłaszcza ci, co socyalistami kierują, ci prowadzą robotę niereligijną, szerzą niedowiarstwo i zepsucie. Jeśli oni twierdzą, że oni w religię się nie mieszają, to są oni fałszywymi i obłudnikami. Nie wierzyć im. Przypomnijcie so-

bie tylko Czytelnicy przeszłość, gdy po parlamentach rozmaitych wrzała walka z naszym świętym Kościołem, z naszą wiarą. Kto w tej walce miał zawsze najżywszy udział? Socyaliści i tylko socyaliści. Walczyli oni zawsze z naszą wiarą we Francyi, w Niemczech, w Austryi, taksamo walczyć będą w Polsce. Pamiętacie przecież, jak w parlamencie austryackim ciągle z tem występowali, aby zaprowadzić małżeństwa cywilne, aby znieść śluby kościelne! I ci obłudnicy mają odwagę mówić dziś przed wami, że z wiarą nie walczą? To kłamstwo, to ohydna obłuda. Ostrzegamy was przed nimi, kochani Czytelnicy. Ja sam, co te słowa do was piszę, wierzyłem czas jakiś, że można będzie z socyalistami dojść jakoś do zgody i wspólnie z nimi pracować. — Dziś przejrzałem i potępiam taką zgodę, bo musiałbym ją okupić ustępstwami na rzecz zasad wiary, a tu przecież nikt ustępować nie śmie.

Powiadają socyaliści obłudnie, że oni do wiary nic się nie mieszają i nic ich wiara nie obchodzi. A ja wam powiadam, kochani Czytelnicy, że oni już przez tosamo, że tak mówią, jasno pokazują całemu światu, że są nieprzyjaciółmi chrześcijaństwa. Chrystus bowiem wyraźnie powiedział: „Kto nie jest ze Mną, przeciwko Mnie jest, a kto nie gromadzi ze Mną, roztrwania i rozprasza". To znaczy, że nikt nie może mówić tak: A, niech sobie tam kto chce wierzy w Chrystusa, nas ta sprawa nic nie obchodzi, bo to jest rzecz prywatna — to ten, kto tak mówi, już temsamem jest wrogiem Chrystusa i religii. Bo Chrystusa można tylko albo popierać i za Niego walczyć i Jego sprawę szerzyć — albo być Jego wrogiem. Jakiejś pośredniej drogi, jakiejś prywatnej rzeczy — niema i być nie może. Socyaliści są więc wrogami Chrystusa, wrogami wiary — bo kto nie jest za wiarą, za Chrystusem w tem znaczeniu, jak tego wiara żąda, ten jest przeciwko wierze i przeciw Chrystusowi.

Nie wszyscy jednak socyaliści są obłudni. Są między socyalistami tacy, co szczerze i otwarcie wypowiadają, że katolik socyalistą być nie może i że socyalizm chce zniszczyć wogóle religię. I tak np. socyalista Erdmann powiedział w roku 1905 te słowa: **„Nie mamy żadnego powodu kryć się z tem, że socyalizm stoi wrogo wobec Kościoła, zarówno katolickiego**, jak i protestanckiego i właśnie dlatego nasze żądania stawiamy z takim naciskiem, że wiemy, iż w ten sposób **złamiemy potęgę Kościoła"**.

Socyalista Arons powiedział w roku 1904 na zjeździe socyalistów pruskich: „My socyaliści musimy stanąć na czele tych, co walczą o szkołę i to z hasłem: **precz z religią ze szkoły!"**

Socyalista Erdmann pisze w czasopiśmie „Neue Gesellschaft" w roku 1905: „Człowiek wierzący, który przy wyborach głosuje na socyalistę, popada temsamem w zatarg ze swymi **obowiązkami religijnymi, przestaje więc w rozumieniu Kościoła być wierzącym katolikiem**... Musimy pytaniu, czy **chrześcijanin może być socyalistą, otwarcie zaprzeczyć"**. To znaczy, że chrześcijanin nie może być socyalistą.

Socyalista Vanderwelde pisze:

„Socyalizmu z katolicyzmem połączyć w żadnym razie nie można, gdyż **teorye społeczne katolicyzmu są zupełnem przeciwieństwem teoryi socyalistycznych"**. Pismo tego socyalisty, a więc i powyższe w niem słowa, wyszło nakładem krakowskiego „Naprzodu". — Jakże zatem może „Naprzód" i socyaliści mówić, że socyalizm nie ma nic do religii. To fałsz i obłuda. Tensam socyalista Vanderwelde mówi, że **„w becach gruba, obrażająco antyreligijnych, socyaliści grają pierwszą rolę"** — a dalej, że „walka z klerykalizmem wtedy tylko będzie miała powodzenie, **jeżeli z umysłu robotnika usunie się wiarę w Boga"**.

Tak piszą uczciwi socyaliści. U nas chodzi im o głosy i o bałamucenie ludu i kłamią przed nim. Ale gdy o wybory już się nie boją, wtedy szerzą pomiędzy młodzieżą i między robotnikami książki, podkopujące wiarę i obyczaje i walczą otwarcie z religią.

Na tem kończymy swe wywody. Jesteśmy przekonani, że człowiek uczciwy, wierzący zrozumie nas i do socyalizmu się nie skłoni. Prawda, my wiemy o tem, że robotnika wyzyskują kapitaliści, panowie i żydzi i że robotnik musi się organizować, aby mógł zdobyć należny zarobek. Nie potrzebuje jednak wstępować do socyalistów. Powinniśmy zakładać stowarzyszenia i związki robotnicze chrześcijańskie. W związkach tych jest wszystko to, co u socyalistów — a jest oparcie się na wierze, na zasadach chrześcijańskich. Do tych związków wstępujcie, zwróćcie się do swych księży z żądaniem, by was zorganizowali i połączyli ze związkami i organizacyami w Krakowie. To jest najpotężniejszy środek, którym złamiemy bezwyznaniowy, pogański socyalizm.

List do jednego z Braci Różańcowych.

Dowiedziałem się o tobie, Bracie, że w czasie wyborów poszedłeś za zwodnikami, za tymi, co ludowi tysiące obiecują i schlebiają jego namiętnościom, co mówią, że ludowi roboczemu zbudują raj na ziemi. Tyś uwierzył uwodzicielom i głosowałeś na listę socyalistyczną.

Wiem o tem i bierze mnie wstyd za ciebie i czuję ogromną boleść w duszy. Przecież ty jesteś brackim! Ty jesteś członkiem bractwa, czyli sto-

warzyszenia religijnego, a więc jako taki, ty w pierwszym rzędzie byłeś obowiązany i jesteś obowiązany zastawiać się o swoją religię, bronić swej religii. Ty wiedziałeś dobrze, ty powinieneś był wiedzieć o tem, że socyaliści są wrogami religii naszej, chociaż oni do tego nie chcą się przyznać. Oni zawsze dotąd stawali w szeregu tych, co chcieli poczynać walkę z kościołem świętym. Słyszałeś przecież o tem nieraz od kapłana, czy to z ambony, czy przy bezpośredniem zetknięciu się z nim — i o tem musiałeś wiedzieć. Nie chce mi się poprostu wierzyć, żebyś ty o tem nie wiedział, gdyż dzisiaj cały świat mówił o tem i zarzucał to socyalistom.

A ty, pomimo wszystko, poszedłeś głosować na socyalistę, oddałeś głos swój na tych, co będą odbierać religii należne jej prawa. Dowodzisz przez to, że jesteś bezgranicznie głupi, a więcej jeszcze przewrotny. Wobec tego wzywam cię bez ogródki, abyś natychmiast wystąpił z bractwa, bo inaczej pozostanie na tobie piętno podłości. W bractwach kościelnych potrzebujemy ludzi wierzących, oddanych kościołowi ciałem i duszą, ludzi pewnych. Z takimi, jak ty, precz! Myślę, że mnie usłuchasz i z bractwa się wypiszesz. Zrób to jaknajprędzej!

Jeden z Brackich.

O klasztorze św. Brygidy.

W Szwecyi, nad brzegiem jeziora Wettern, leży miasto Wadstena. Małe to dzisiaj miasteczko; liczy coś przeszło 2000 mieszkańców. Ma ono jednak za sobą wielką przeszłość i sławne jest w historyi. Tu bowiem mieszkała niegdyś niezwykłe mądra niewiasta, wielka matrona i wdowa, zakonnica św. Brygida. — Żyła ona w XIV. wieku, a klasztor nad tem jeziorem postawiła w latach od 1346—1370. Jaśniała ona blaskiem cnót nadzwyczajnych. Odsunęła się od dworskich godności, odbyła kilka pielgrzymek, jak na grób św. Jakóba w Kompostelli, na grób św. Apostołów Piotra i Pawła w Rzymie, wreszcie na grób Zbawiciela w Jerozolimie. Ogromnie wiele dobrodziejstw wyświadczyła ona Kościołowi i ludzkości. Czasy w Kościele były naonczas bardzo smutne, papieże nie mieszkali w Rzymie, lecz w Awinionie, we Francyi. Święta Brygida widziała, ile stąd płynie szkody dla Kościoła, dlatego użyła swoich wielkich wpływów, jakie miała u papieży Klemensa VI. i Urbana V. i sprawiła, że nareszcie papiestwo przeniosło się znowu na stolicę do Rzymu. Pogodziła ze sobą królów Anglii i Francyi, pojednała cesarza niemieckiego Karola IV. z papieżem Urbanem V. Czyny te rozsławiły jej imię po świecie i wsławiły także kraj jej rodzinny, Szwecyę. W czasie pobytu swego w Rzymie wystawiła sobie tam dom i w tym domu w roku 1373 umarła. W rok potem sprowadziła ciało jej do klasztoru w Wadstenie jej córka i tu też ciało zostało pochowane. W klasztorze przebywały zakonnice reguły Zbawiciela (t. zw. Ordo Salvatoris), a rekrutowały się z panien szwedzkich. Dla panien szwedzkich bowiem w pierwszym rzędzie ufundowała ten zakon i klasztor św. Brygida. Zakon ten zatwierdziła Stolica Apostolska jeszcze za życia jego fundatorki.

Klasztor św. Brygidy w Wadstenie stał się środowiskiem życia duchownego w Szwecyi. Ale nie tylko duchownego — tutaj skupiło się zarazem całe życie umysłowe kraju. Zakon bowiem Zbawiciela szerzy się po Europie, a Wadstena staje się siedliskiem nauki. Tutaj w klasztorze piszą się średniowieczne dzieła i powstaje pierwsza w Szwecyi drukarnia. Jeszcze przed założeniem najwyższej uczelni, to jest uniwersytetu, w Upsali, jaśniała Wadstena sławą nauki i cnoty.

Wielkie to dzieło św. Brygidy zniweczył w XVI. wieku protestantyzm. Wiadomo wszystkim, że Marcin Luter wystąpił w 1517 roku ze swojemi hasłami, że wywołał on przewrót, zwany protestantyzmem, przewrót, który ogarnął przeszło połowę Europy i oderwał wiele narodów od Kościoła. Ten protestantyzm przeszedł także i do Szwecyi, gdzie zaczęło się prześladowanie i tępienie katolicyzmu. Gustaw Waza, sam zapalony luteranin, ukoronował się w 1523 roku na króla szwedzkiego, wprowadził luteranizm do kraju, zrabował klasztor Wadsteny i doprowadził go do ostatniej nędzy. Wypędził spowiedników zakonnic, zakazał odprawiania Mszy św., zakazał spowiadania się, zabrał klasztorną bibliotekę i kosztowności. Po śmierci Gustawa Wazy — odetchnęli nieco katolicy, ale na krótki czas jedynie. Koronę bowiem owładnął Karol IX. Sudermański, który nienawidził katolicyzmu. W roku 1595 sejm szwedzki zabronił wyznawania katolickiej religii w kraju — i tak zniszczył tam panowanie Kościoła katolickiego. Wskutek tej uchwały sejmowej musiały zakonnice z Wadsteny opuścić ojczyznę i pójść na wygnanie. Przeniosły się do Gdańska.

Wadstena opustoszała zupełnie, klasztor zapadł powoli w ruinę. Ruina sterczy jeszcze po dziś dzień. Można tam spotkać dziś jeszcze obrazy i wartościowe rzeźby, świadczące o tem, jak życie duchowne katolickie nie ograniczało się w tem miejscu tylko na rozmyślaniu i modlitwie, ale że stwarzało ono także wspaniałą sztukę. Dzieł

sztuki było tam mnóstwo. Protestantyzm je zniszczył.

Ruiny klasztoru wadsteńskiego, mimo że nikogo tam z dawnych mieszkańców niema, przemawiają także do duszy dzisiejszego człowieka. Mówią mu o wielkiem i świętem życiu, które tam długo miało swoją siedzibę. Że to jest prawda, dowodzi tego nawrócenie się protestanta, Szweda Ehrforsa na tem miejscu. Czuł on do tych ruin dziwny pociąg. Ruiny te przenosiły myśl jego ku katolickiej przeszłości. On o tej przeszłości rozmyślał, badał dawne życie. Nie widział naokoło siebie ani jednego katolika, sam był protestantem i wszystko dokoła było protestanckie. Te ruiny jednak tak go rozrzewniły, tak go ciągnęły do katolicyzmu, że — ochrzcił się, przeszedł na katolicyzm i zamieszkał w klasztorze. Nazywano go mnichem Wadsteny z tego powodu. Oto przykład, jak i kamienie nawet mówić mogą do duszy naszej, gdy zechce Duch święty.

Ks. St. S.

WIKTOR GOMULICKI.

Gdy ziemia w śnie odpoczywa...

Gdy ziemia w śnie odpoczywa, —
Chodzi Pan Jezus przez łany,
O dusze ludzkie stroskany,
Jak pilny rolnik o żniwa.

Słuchając sumień w noc cichą,
Mleczną od blasku księżyca,
Osmętnia Pan Jezus lica,
Przelękły człowieczą pychą.

Złoczyńcy niezwarte oko
Przeszywa senną gąszcz liści...
Spotkawszy wzrok nienawiści,
Pan Jezus wzdycha głęboko.

Z wiatrem co trawą szeleści,
Chór klątw nadpływa co chwila...
Pan Jezus głowę pochyla
Z wyrazem wielkiej boleści.

Krzyk wstrząsnął ciszą i cieniem,
Człowieka morduje człowiek...
Z pod Pana Jezusa powiek
Łzy gorzkie płyną strumieniem.

W posępnym świat sczerniał mrok —
Zawyły wichry ponure —
Pan Jezus uniósł się w górę,
Roztopniał w srebrnym obłoku.

W noc każdą miesięczną, białą,
Schodzi Pan Jezus na ziemię
I słucha, czy ludzkie plemię
Chwast złości z serc swych wyrwało.

I zawsze grzechów otchłanie
Musi porzucać spłakany...
Kiedyż odlecą szatany?
Pan Jezus z nami zostanie?

Co znaczy Polska „ludowa“?

Na każdym dziś kroku słyszy się i czyta o tem, że Polska ma być demokratyczną, ludową. Co to znaczy? Niektóre skrajne partye tłumaczą, że Polska ma być państwem, w którem tylko lud, to znaczy chłop i robotnik ma rządzić, a inne warstwy mają być od rządów usunięte. W języku socyalistycznym to się nazywa, że dziś tylko „proletaryusze“ mają głos, a „burżuje“ muszą siedzieć cicho. Czy takiej Polski chcemy? Broń Boże! Potępialiśmy Polskę „szlachecką“, potępilibyśmy i „ludową“ w tem znaczeniu, by w Polsce tylko jeden stan miał prawa. My chcemy Polski, w którejby każdy Polak miał jednakowe prawa, nie uznajemy klas, nie uznajemy przywilejów. Jeżeli mówimy Polska „ludowa“, to rozumiemy, iż w Polsce lud ma mieć te same prawa, co i inne stany, a ponieważ ludu jest najwięcej, więc naturalnie przy równych prawach każdej jednostki lud będzie miał najwięcej przedstawicieli i w sejmie i w rządzie. Lud będzie miał głos decydujący, bo jest on liczbowo najliczniejszy, ale lud ten nie myśli nikogo od głosu usuwać.

Polska „ludowa“ nie oznacza także i tego, by w przyszłym sejmie i w przyszłym rządzie polskim sami chłopi i robotnicy zasiadali, bo taki rząd rządzić dobrze nie potrafiłby. Pewnie, że życzyć sobie wypada, by jaknajwięcej chłopów i robotników posiadało taki rozum i wykształcenie, aby mogli być posłami, a nawet ministrami, i — o ile możliwe — dopuszczać na te stanowiska trzeba przedstawicieli ludu, ale nie zawsze to się da zrobić bez szkody dla sprawy ogólnej.

Wiemy bowiem, że wysokie urzędy wymagają wielkiego i fachowego wykształcenia, więc niejednokrotnie lepiej będzie wybrać z dwóch braci tego, który posiada większą naukę, chociażby on w surducie, a nie w sukmanie lub bluzie robotniczej chodził. Z ludem czuć, lud kochać i dla jego dobra pracować można chociaż się już z tego ludu wyszło, chociaż się nie poprzestało na szkole ludowej, ale ukończyło się uniwersytet. Najlepiej nas o tem praktyka przekonuje, przecież nawet

u ludowców posłami i wodzami nie są sami chłopi, a socyaliści, gdyby tak chcieli naprawdę „burżujów“ usuwać, toby musieli chyba zacząć od swoich prowodyrów, bo na czele ich stronnictwa i jako ich przedstawicieli w rządzie nie widzimy wcale robotników, lecz samych adwokatów, lekarzy, inżynierów i innych „burżujów“.

F. B.

Prostota.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdyć panem własnej woli!
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.
Nie ciekawym, co tam poda
Zagranicznym miastom moda,
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat...: Otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju,
Co jest rozum, grzeczność cnota.
Wolę ja w staroświecczyźnie
Własnej wiernym być ojczyźnie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jakiś zysk w tem zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może, mydli oczy.
U mnie, znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach
Do prostoty wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy i tak dalej,
Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mię sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz na spowiedzi.
Tom już całkiem ucieszony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Stefan Witwicki.

Wychowanie dzieci, a 7 przykazanie.

Czy jest na świecie taki człowiek, któryby obojętnie patrzył na to, gdy mu inny człowiek wyrządza szkodę: okrada go; wydziera mu to, co posiada; oszukuje go, niszczy rzeczy jego? Zapewne niema takiego.

Każdy uważa to, co posiada, za swą nietykalną własność. Czy kto uznaje przykazanie Boskie: „Nie kradnij“ za święte, czy nie uznaje, swojej własności broni. Czy ktoś jest chrześcijaninem, czy poganinem, nie chce, by mu na majątku szkodę wyrządzano. Całkiem słusznie!

Ale teraz zastanów się kochany Czytelniku jak przewrotnym jest ten człowiek, który sobie nic a nic ukraść nie pozwala, a sam rękę po cudze wyciąga.

Niestety, takich jest wielu. Najsmutniejsze to, że tacy są nawet między katolikami. Czy jednak godzien nazywać się chrześcijaninem człowiek, który rano i wieczór na kolanach klęcząc, mówi: „Siódme, nie kradnij“ — a potem od modlitwy powstawszy, idzie i cudze rzeczy sobie przywłaszcza, czyli kradnie?

Mniejsza o to, czy kradnie grube kawałki czy drobnostki. Tak, czy owak — to złodziej.

Podobno w Chinach złodziejom ucinają głowy.

U nas także złodziei karzą, ale słabo, to też złodziejstwo panuje po wsiach i miastach.

Aby człowiek szanował cudzą własność, musi być odpowiednio wychowany.

Rodziców zatem obowiązkiem jest świętym, aby uczyli dzieci szanować cudzą własność, boć przecież oni są wychowawcami dzieci pierwszymi.

Ale rodzice nie zaszczepią w serca swych dzieci tego przekonania, że cudzą własność trzeba szanować, jeżeli sami tego przekonania nie mają.

Rodzice kochani, zastanawiajcie się często nad tem, jak brzydką rzeczą w oczach Boga i ludzi jest wszelka kradzież. Rozmyślajcie o tem, że to, coś bliźniemu niesprawiedliwie wziął, musisz oddać, jeżeli zechcesz przed Bogiem się uniewinnić. Rozmyślajcie nad tem, ile to przykrości ponoszą ludzie, jeżeli jeden nie szanuje rzeczy drugiego.

Miłość bliźniego wymaga tego, byś cudzych rzeczy nie naruszał.

Być może, żeś ty sam nieraz był poszkodowanym przez innych. Jest ci to miłem? Nie oddawajże bliźniemu złem za złe, tem więcej, że nie wiesz, kto ci szkodę wyrządził. Nad tem się zastanawiaj, abyś nabrał wstrętu do wyrządzania jakiejkolwiek szkody. I to jest pierwsze. A drugie, co rodzicom jest potrzebne, jest to, aby dawali dzieciom swym przykład poszanowania cudzego.

Jeżeli masz to przekonanie, że wyrządzanie szkody bliźniemu jest rzeczą grzeszną i hańbiącą człowieka, staraj się, abyś nigdy, pod żadnym warunkiem, nie ciągnął po cudze. Wszak wiesz, że nawet pożądać cudzego się nie godzi, a cóż dopiero brać.

Mam tu w ogrodzie drzewo owocowe, rosnące przy drodze, i patrzę nieraz, jak ojcowie i matki

przechodząc, sięgają ręką po śliwkę. A przecież to nie jest ich własność. Może się to komu wydaje drobnostką. A jednak kto nie szanuje cudzej rzeczy, choćby drobnej, jest także kradzieżą.

A tych drobnych kradzieży ileż to jest wszędzie!

Furman, bierze dla konia z kopki przy drodze cudze siano.

Gospodarz ucina w lesie cudze drzewo.

Robotnik bierze z rusztowania kawałek deski, idąc do domu.

Przechodzień zabiera z płotu wiszącą na nim koszulę. I tak dalej. Któżby to zliczył?

Jeżeli ojciec i matka tak robią, to dzieci ich nie będą lepsze. Wszakże dzieci z rodziców biorą sobie przykład.

Jeżeli chcesz być dobrym ojcem i dobrą matką, pamiętaj, byś ręki swej nie splamił nigdy cudzą rzeczą, inaczej bowiem odpowiesz za siebie i za dzieci swoje, gdy cię naśladować będą.

Jezus Dwunastoletni.

Cichy, skromniutki domek nazaretański. — W domku tym Najśw. Panna Marya, opiekun Józef i młodzieniaszek Jezus. Ma Jezus dopiero 12 lat. Jest to wiek, od którego każde dziecko izraelskie było obowiązane co roku chodzić na święta do kościoła w Jerozolimie. Właśnie te święta nadeszły. Z matką i opiekunem wybrał się młody Jezus w drogę, aby oddać swemu Ojcu niebieskiemu należną cześć w świątyni. Droga była daleka i dosyć uciążliwa. Trwała ona coś ze trzy dni. Odbywali ją prawdopodobnie pieszo, bo byli biedni. Nie wiemy na pewne, jakie uczucia paliły się w sercu młodego Jezusa, gdy pierwszy raz zobaczył zdaleka mury świątyni i gdy stanął na jej dziedzińcu, przeznaczonym dla izraelitów. Nie wiemy tego na pewne, bo ewangelia tego nie podaje, ale możemy się domyślić. Musiała to być wielka radość, musiał to być cichy smutek. Radość na widok tego wspaniałego domu Bożego, domu, który przeznaczony był li tylko ku chwale Jego Ojca w niebie. Radość, że ten dom własnemi dziecięcemi oczyma ogląda, że po nim stąpa i że w nim może się pomodlić. Ach, jakże gorąco musiało się to dwunastoletnie Boskie Dziecko w świątyni modlić! Ale był w sercu Jezusa także smutek. Albowiem nie mógł On nie wiedzieć tego, że wielu z Izraela w domu tym kupczy, sprzedaje bydło i gołębie, wymienia pieniądze i tak miejsce to znieważa. Nie mógł Jezus nie widzieć, że wielu w tem miejscu świętem modli się źle i zachowuje się bez uszanowania. Dlatego musiał się smucić.

Po świętach Najśw. Panna Marya i Józef opuścili Jerozolimę i wracali do Nazaretu. Był zwyczaj, że ten powrót odbywał się gromadnie. Mężczyźni szli osobno, niewiasty także osobno. Tem też tłómaczy się pomyłka, która zaszła, że Jezusa nie wzięli ze sobą. Bo Matka Najśw. myślała, że syn Jej jest przy Józefie, a Józef zaś tosamo myślał o Maryi. Dopiero w drodze poznali brak Jezusa. Co się w ich sercu dziać musiało, nie mówi Ewangelia i znowu musimy się domyślić. Ale chyba nikt nie wątpi, że ból, jaki dotknął Maryę, musiał być bardzo wielki. Wszak było to Jej jedyne dziecko, i jakie jeszcze dziecko! — Wszak wiedziała, że Jezus jest Bogiem! Bóg dał Go w Jej ręce, a Ona Go teraz gdzieś zgubiła. Jakże musiało zaboleć Jej przeczyste, macierzyńskie serce? Widać to i z owego okrzyku, którym wita Jezusa w chwili znalezienia Go w świątyni: „Synu, oto ojciec Twój i ja z żałością szukaliśmy Cię“.

A Jezus, ten dwunastoletni młodzieniaszek, to niezwykłe dziecko, wprawiające w zdumienie mędrców żydowskich pytaniami i odpowiedziami swemi, co mówi Matce na słowa Jej wyrzutów? Powiada spokojnie z Boską godnością: „I cóż, żeście mnie szukali? To wy nie wiedzieliście, że w sprawach, które dotyczą Ojca mego, potrzeba abym był?“ I poszedł potem z nimi do Nazaret i był im poddany i wzrastał w mądrości i w leciech i w łasce u Boga i u ludzi.

Tak wygląda ten jeden jedyny wypadek w młodości Jezusa, który Ewangelia przechowała nam ku pamięci i ku nauce. Opowiadanie to prześliczne, pociągające. Jeżeli kto powinien je często sobie odczytywać i przypominać, jeżeli kto powinien wpatrywać się w młodzieniaszka Jezusa, w Matkę Najśw. i Józefa i badać ich stosunek wzajemny, jeżeli kto powinien z każdego słóweczka ewangelicznego w opisie tego zdarzenia wyciągać dla siebie odpowiednie wnioski, to przedewszystkiem nasi rodzice, zwłaszcza nasze polskie, katolickie matki i nasza dorastająca młodzież. Jakiż w tem zdarzeniu przecudowny wzór chrześcijańskiego wychowania? Jak ta Matka Najśw. uważa na to, aby Jezus był w kościele i aby się modlił! Choć Ona Go wcale nie potrzebowała uczyć modlitwy — On Ojca swego lepiej znał od Niej i lepiej od Niej umiał z Nim rozmawiać, czyli modlić się. Ale jednak zostawia Matce swojej rządy i kierownictwo i poddaje się Jej i idzie za Nią, gdzie Ona każe. I jakże On tam gorąco modlić się musiał w świątyni i czcić swego Ojca niebieskiego? Godzi się przypuścić, że przez trzy dni, w czasie których szukali Go Jego Matka i opiekun, Pan Jezus nie szukał przytułku nigdzie w mieście, lecz na noc pozostawał na dziedzińcu kościelnym, podkładał sobie rączęta pod głowę i tak zasypiał.

O wy polskie, katolickie matki! Prowadzicie i wy dzieci swoje do kościoła, przynajmniej w niedzielę. Prowadźcie je na Mszę św.! Ale je pouczcie, czem jest Msza św., przywiedźcie je przed Tabernakulum albo przed Hostyę w monstrancyi wystawioną i mówcie dzieciom swym, kto to jest i co się to dzieje? O matki, to jest wasz najwyższy i najświętszy obowiązek: wychowanie dzieci. Wychowujcie je religijnie, po katolicku. Uczcie dzieci pacierza, nauczcie je, aby same od siebie dzień każdy zaczynały od znaku krzyża i od modlitwy i aby w tensam sposób dzień każdy kończyły. Ten obowiązek Bóg na was nałożył i Bogu sprawę z niego kiedyś zdać będziecie musiały. Matki! od waszego dobrego, katolickiego wychowania dzieci zależy dobro tych dzieci, zbawienie ich i dobro całego narodu.

O dzieci, o polskie, katolickie dzieci! Weźcie sobie za wzór dwunastoletniego młodzieniaszka Jezusa. Słuchajcie rodziców, jak On swoich słuchał, choć był Bogiem. Módlcie się z taką chęcią, jak ten Jezus i do kościoła chodźcie z takiem upragnieniem, jak Jezus — a rzeszę wam, będziecie same szczęśliwe, a dla nas będziecie pociechą i chlubą. S.

Pierwszy Pustelnik.

Największymi pustelnikami przed Chrystusem był prorok Eliasz i św. Jan Chrzciciel, poprzednik Pana Jezusa. Pierwszym pustelnikiem chrześcijaństwa był Paweł z Tebajdy (święto 15 stycznia). Syn bogatych rodziców, nie dbał nic o majętności ziemskie i tęsknił do życia samotnego. Już jako piętnastoletni młodzieniec udał się na puste miejsca, aby tam módz rozmyślać o Panu Bogu, zagłębiać się w tajemnicach wiary św. i zachować duszę czystą, nieskalaną światem. Był to umysł kontemplacyjny, lubiał się skupiać w sobie i zamyślać. Był wykształcony „dobrze w greckiem i egipskiem piśmie uczony, pokorą serdeczną i miłością gorącą ku Bogu zjęty“ — jak powiada o nim ks. Piotr Skarga. Na razie jednak nie zamknął się jeszcze od świata i nie skazywał się na wieczne osierocenie. Badał się, czy go Bóg do pustelniczego życia powołuje, czy może w niem wytrwać i powracał od czasu do czasu do swej siostry. Rodziców bowiem już nie miał, w domu byli tylko siostra i szwagier.

Były to czasy prześladowań, wiek III i IV po Chrystusie. Każdego, kto został doniesiony do urzędu jako chrześcijanin, bywał pozywany przed sąd pogański i tam musiał się albo wyprzeć Chrystusa, albo też ponieść śmierć męczeńską. Wiemy, że w pierwszych wiekach wiary nie zapierał się nikt i każdy ochotnie szedł na mękę. Skorzystał z tego podły szwagier Pawła. Wiedział, że Paweł jest chrześcijaninem i myślał go wydać pogańskiemu urzędowi. Chciał to zaś uczynić dlatego, że spodziewał się po śmierci Pawła odziedziczyć cały majątek, który na niego miał przypaść. Zamiary te jednak poznał rychło Paweł i to go ostatecznie skłoniło do porzucenia świata na zawsze. Odszedł z domu, rzucił ludzi i udał się daleko w głęboką pustynię.

Na pustelnię obrał sobie jaskinię, na którą natrafił. Miał tam w pobliżu strumyk, miał palmy. Pragnienie zaspakajał źródlaną wodą, a głód trawami i owocami palmowymi czyli daktylami. — Odzienie zostawił na sobie to, w którem przyszedł; kiedy jednak z latami się zdarło, zrobił sobie płaszcz z palmowych liści i tak się ubierał. Za opiekunów swego samotnego żywota uważał Eliasza i św. Jana Chrzciciela. I żył aż do 113 roku życia. Żył on mniej więcej w czasie od r. 230—343 po Chrystusie.

„Jakie jego tam życie, modlitwy, zabawy i bogomyślności były, wiedzieć się nie może — powiada Skarga — na dzień się to żadnym pokaże“. Bóg jednak nie chciał, aby to wielkie i piękne zasług życie pozostało w ukryciu i zrządził, że nawiedził świętego inny pustelnik — św. Antoni. Było to prawie przed śmiercią Pawła. Rozmawiali obydwa z sobą, Paweł wypytywał się Antoniego, czy już pogaństwo ustąpiło, czy już uznają jednego Boga i czy kłania się Chrystusowi? Gdy tak rozmawiali i głodni już byli, przyleciał — jak powiada dawne podanie — kruk i przyniósł im cały bochenek chleba. Zdziwił się św. Antoni, a Paweł rzecze: „Już sześćdziesiąt lat, jako mi ten ptak po pół bochenka codzień nosi, a dziś dla gościa, przyczynił Pan Bóg obroku“ i dał cały chleb. Jedli potem i pożywili się, pożywienie wodą zapili, przyczem rozmawiali serdecznie. — W rozmowach tych powiedział na końcu Paweł, że wnet już umrze, i prosił Antoniego, by przyszedł za czas niejaki pogrzebać jego ciało. I rozeszli się ci święci mężowie.

Kiedy Antoni wrócił, zastał Pawła w klęczącej postawie, rozmodlonego. Myślał, że Paweł rozmawia z Bogiem. Lecz Paweł był martwy. Umarł w klęczącej postawie i tak pozostał. Antoni pogrzebał jego ciało, płaszcz Pawła z palmowych liści wziął sobie na pamiątkę, a imię jego rozgłaszał po powrocie do swej pustelni pomiędzy swoimi uczniami.

Ks. Skarga taką naukę daje przy sposobności przedstawienia życia św. Pawła pustelnika:

„Wy, którzy macie tak bogate odzienia, tak rozkoszne używania, co macie nad tego starca? Wy ze złotych kubków pijecie, a on się garścią według potrzeby napił. Wy w szatach złotem przeplatanych chodzicie, a on i sukni najpodlej-

szego sługi waszego nie miał. Wy tak wiele rozkosznie używacie, a on na chlebie, który mu kruk nosił, przestawał. I był żyw, jako i wy, a podobno dłużej i w lepszem zdrowiu. Lecz z drugiej strony on wiele ma nad was. On w rogoży do nieba, a wy w złocie do piekła. On w niewinności, w nagości swej nic stracił, a wy tak bogato przybrani, obnażeni z niej jesteście". I prosi Skarga, aby nikt nie stroił się zbytecznie, bo lepsza jest licha suknia Pawłowa z wysługą i niebem, niż bogate, królewskie odzienie z potępieniem.

Wspomnienie domu.

W czasie, kiedy front bojowy biegł w pobliżu Krakowa, a wskutek tego wojskowe szpitale przepełnione były rannymi i chorymi, zwiększyły się obowiązki kapelanów wojskowych i poprostu przechodziły ich możność. Poczęliśmy, księża świeccy i zakonni, stawać z nimi do pracy; wolni od szkoły, która prawie że nie funkcyonowała, mieliśmy trochę czasu i poświęcaliśmy go biednym chorym żołnierzom. Napatrzył się wówczas człowiek nędzy ludzkiej, — nasłuchał się skarg i żalów! Szpital — zawsze smutny — był w tym czasie przybytkiem szczególnego nieszczęścia: młodzież, pełna gorących pragnień, żywa, tak potrzebna w społeczeństwie, mężowie, opiekunowie drobnych dziatek i żon opuszczonych, to, co najdzielniejszego, najmocniejszego, trawione chorobą, okaleczałe jęczy i doli swej żałuje. O, wtedy to czułem, czem jest religia, niosąca nie blady uśmiech politowania, nie bezmyślne i raniące wyrazy współczucia, ale słowa żywota, naukę o Ojcu Niebieskim i Jego Opatrzności, o Chrystusie i Jego odkupieniu, — religia krzepiąca Sakramentami, kojąca modlitwą. Wiele się wtedy przeżyło, — wiele serc się otwierało — wiele Bóg czynił. Jeden szczególnie utkwił mi w pamięci — chyba na zawsze — wypadek!

W moim szpitalu opiekę lekarską wykonywał Polak i dobry katolik. Ilekroć przywieziono nowych chorych, wskazywał mi takich, którym nie rokował życia, których należało jak najszybciej zaopatrzyć na drogę wieczności. Takich zwyczajnie lokowano w salce pod nr. 28; skazani z góry na śmierć dogorywali powoli jeden za drugim. Przywieziono raz kilkunastu chorych na tyfus; lekarz po oględzinach skierował jednego z nich pod nr 28 i uwiadomił mnie o groźnym jego stanie. Było to wieczorem, może po godzinie 6-tej. Na wiadomość o tem przerwałem swoją zwyczajną wizytę szpitalną i udałem się pod nr 28. Na łóżku leżał człowiek w wieku może 35 lat; właśnie dano mu okłady; pielęgniarka wyszła. Zapadła cisza. Usiadłem na sąsiedniem łóżku i zbliżywszy się do chorego próbowałem nawiązać rozmowę. Był to Wiedeńczyk, Niemiec, urzędnik z któregoś ministeryum, zachorował na tyfus w polu, tu go prawie nieprzytomnego przywieziono; wiedział, że jest źle, że nawet i śmierć grozi, a w domu czeka na jego powrót żona i dwoje małych dzieci. Żal ścisnął mu gardło, łzy potoczyły się po wynędzniałych licach! Nadeszła moja chwila! Więc ostrożnie począłem go pocieszać słowami, które mi wiara dyktowała!

— Niech pan nie rozpacza. Jest pan w szpitalu, będą cię leczyć, lekarz chorobę poznał, dołoży starań, byś pan wrócił do zdrowia. Niech pan pamięta, że przecież jest Bóg, On rządzi całym światem, od Niego nasze losy zależą; do Niego się modlimy: „Ojcze nasz!" — On nas kocha, jeśli panu zdrowie potrzebne, to je zwróci! Tylko Mu zaufać trzeba, zjednoczyć się z Nim. Jestem księdzem, za miny obowiązek będę sobie uważał codziennie pana odwiedzać, pocieszać, podnosić na duchu! Niech pan teraz zmówi ze mną „Ojcze nasz!".

Na dźwięk ostatnich słów podniósł chory głowę, wpatrzył się we mnie swemi oczyma; dojrzałem w nich jakiś zły błysk.

— Jak to, to pan jesteś duchownym? — zapytał.

— Tak jest! — odpowiedziałem.

— W takim razie proszę mnie opuścić; z księżmi, z religią nie chcę mieć nic do czynienia. Proszę tu już więcej nie przychodzić.

— Nie chce pan nic o religii słyszeć dzisiaj, to nie będę mówił; pan przemęczony drogą, słaby; ale pana będę odwiedzał, to mój obowiązek, a i panu będzie przyjemniej słyszeć głos ludzki, niż leżeć w samotności. Ale już dosyć — dobrej nocy.

Nazajutrz poczciwy mój lekarz ciekawy skutku mojej wczorajszej z chorym rozmowy pyta mię:

— No, cóż tam pod nr. 28?

— Niestety, chory nie chce ani słyszeć o religii. Ale Bóg mocniejszy, niż się nam zdaje. Ufam, że i o tej duszy pomyśli.

— Niech się ksiądz spieszy, bo ten człowiek nie wytrzyma długo; gorączka się podnosi od południa prawie bez ustanku.

Pełen troski wchodzę do mojego chorego. Rzeczywiście od wczoraj wielka zmiana na gorsze; chory oddycha ogniem, usta spalone, oczy nawpół przytomne witają mię tym wyrazem, który mię wczoraj tak uderzył. Dziś już chory nie mówi, za to ja zaczynam i staram się obudzić w nim jakieś religijne uczucia. Czuję jednak, że wszystko naprożno. Boże — co będzie?

I nic nie wskórałem tego dnia. Już pewnie dawno nie modliłem się tak serdecznie, jak nazajutrz, gdy przy Mszy św. polecałem chorego P.

Bogu. Dziwna rzecz! Przechodził dzień za dniem, chory żył dalej, mimo, iż gorączka wcale nie opadała; podwajałem modlitwy, a chory o spowiedzi wspomnieć sobie nie dał. Wchodziłem do szpitala z prawdziwym strachem, czy przypadkiem nie usłyszę wiadomości: chory umarł! Lecz żył, borykał się ze śmiercią, tracił chwilami przytomność, znów ją odzyskiwał, ale żył. Jakżeż się cieszyłem, gdym się dowiedział, że to życie, które mi się w tych dniach tak drogiem stało, plącze się jeszcze. Nie zaniedbywałem niczego, byle duszę zbłąkaną nawrócić; spokoju nie miałem w domu, coś mię ciągnęło do szpitala, chodziłem po różnych salach, a myśl błąkała się po tej, w której mój chory leżał; dopiero uspokajałem się, kiedym się przy nim znalazł.

Upłynęło tak może 4 lub 5 dni. Lekarz był zdumiony tem, że się to życie tak jeszcze długo ciągło. Dziś zdaje mi się, że Bóg się tu wmieszał, przedłużał je, by ostateczne nad uporem odnieść zwycięstwo.

Aż raz obszedłszy już wszystkich moich chorych znalazłem się i przy tym biedaku. Śmierć tu już była w pokoju, zbliżająca się po swoją ofiarę. Drgnął chory na mój widok. Usiadłem na łóżku, w milczeniu wpatrywałem się w dogasającego człowieka. Rozumiał moje milczenie.

— Ja wiem, że umrę; i wiem, pocoś ksiądz przyszedł, ale i tym razem napróżno — powiedział jakoś wzruszony.

— Niech się pan tak nie przejmuje! I tak pan słaby! Ja chcę panu przynajmniej oczy zamknąć. To zawsze dobrze mieć przy sobie kogoś życzliwego, ale zwłaszcza przy śmierci. Bo ona ze sobą pewien lęk wnosi w duszę. Widzę naprzykład, że i pan się trochę lęka. Otóż chcę pana uspokoić.

I znów próbowałem podjąć religijną rozmowę. Zapłonęły oczy chorego; uniósł się na poduszce, ostatnim wysiłkiem zwrócił ku mnie głowę i usłyszałem słowa, na które nie byłem przygotowany:

— Ksiądz mnie zabija. Oto drzwi, niech się ksiądz natychmiast wyniesie!

Po tych słowach runął napowrót na łóżko. Podbiegłem i widziałem, jak wszystkie mięśnie i delikatne nerwy drżeć poczęły; zmógł go wysiłek fizyczny. Zamknął oczy. Sądziłem, że zacznie się konanie.

W takich chwilach, których grozę chyba tylko kapłani zrozumieć potrafią, Bóg jest przy swoim słudze, jest w jego sercu, działa przez niego. Czułem to. Instynktownie wiedziony rzuciłem się na kolana przed krzyżem, który ręka pobożnej pielęgniarki powiesiła i modliłem:

— Czy podobna, Jezu, byś tej duszy nie chciał zbawić? Czy podobna, byś chciał jej potępienia? Nie! Precz takie myśli! Tyś za wszystkich umarł na krzyżu. Więc ratuj tego biedaka. Matko Boża, módl się za nim!

Bóg podał mi jeszcze jeden plan. Wstałem dziwnie pewny, że się zbliżyło królestwo Boże ku tej duszy. Zbliżyłem się do chorego i cicho szeptem począłem mu mówić o domu, o żonie, dzieciach.

— Oto wieczór; twoja rodzina spożywszy swoją smutną wieczerzę myśli o spoczynku. Żona zbiera dzieci, przed spoczynkiem każe im Bogu się polecić. I tak te trzy drogie tobie osoby klęczą sobie przed obrazem może Matki Boskiej; drobne usteczka twoich dzieci szepcą: „Królowo niebios, proś Boga za tatusiem, by go złe omijało, by wrócił do nas!“

Zasłuchałem się i zapatrzyłem pod wpływem tych słów i dopiero po chwili spostrzegłem, że chory płacze. A kiedy zwrócił na mnie wzrok, wiedziałem już co powie.

— Księże! Taż to ja swoją rodzinę ujrzałem w tej chwili; tak się tam u mnie modlą. A ja — teraz o spowiedź proszę, ale dokładną. To taka potrzebna. Bo, czy wiesz ksiądz, czemum jej dotąd nie chciał? Bo gdy kończyłem gimnazyum, wespół z kilkoma kolegami dałem słowo honoru, że nawet przy śmierci nie chcę księdza.

Zwyciężyła łaska Boża. Z rozbrajającą pobożnością chory odbył spowiedź; a kiedy mu podawałem Komunię św., łza szczęścia spadła na moją rękę. Jeszcze długo pozostałem przy nim, krzepiąc go słowem pociechy i modlitwą. Jedne z ostatnich słów były:

— Niech ksiądz po mej śmierci doniesie żonie, że jej zbawienie zawdzięczam! Niech jej to Bóg wynagrodzi!

Nazajutrz przybywszy rano z Komunią św. do innych chorych, pod nr. 28 zastałem już martwe zwłoki. U ich stóp przesunęły się mi te kilka dni, którem przeżył w męce, błogosławiłem to dobrej żonie i pobożnym dzieciom, których wspomnienie otworzyło raj ojcu i mężowi. Ks. J. P.

List Czytelnika „Siewu“.

Na wstępie pozwolę sobie oddać pismu „Siew Polski - W Obronie Prawdy“ prawdziwe, szczere słowo uznania. Gazetka ta bardzo mi się podoba, gdyż broni stanowczo religii katolickiej. Takich pism dziś, w dobie niewiary i występku właśnie najwięcej nam potrzeba, bo innych politycznych już zawiele... Lud polski, karmiony samą polityką, staje się coraz głupszy w swych zapatrywaniach na życie — uczciwe... Coraz więcej niezgody szerzy się w społeczeństwie naszem, dzięki różnym stronnictwom, które kłócąc się nawzajem prawie nic dobrego, czy pożytecznego nie zrobiły. Prowadząc walkę dla walki, demoralizują jedynie nieuświadomione tłumy ludu.

Lud atoli nie pragnie walki. On lubi oświatę cichą, spokojną, wśród ciągłej, pożytecznej pracy. Lud po całotygodniowej „harówce" pragnie balsamu pociechy i odświeżenia sił ducha... Ten lud prosty a głęboko religijny wie, które pisma mówią prawdę, bo w nim tkwi głos Boży — głos uczciwego sumienia. Zatem doborowym pokarmem staje się dlań gazetka religijno-oświatowa, która nie czyni wzburzenia umysłu i zacietrzewienia partyjnego. Potrzebą dzisiejszej chwili jest popierać i rozszerzać jak najsilniej prasę katolicką, któraby mogła przeciwdziałać skutecznie wrogim atakom złej prasy. Koniecznością obecnej doby — to Apostolstwo pracy w dziedzinie odrodzenia zgangrenowanego społeczeństwa. Potrzebą chwili — to ustawiczna, gruntowna walka ze złem w postaci rozlicznych nałogów, jakie w narodzie polskim grasują; bo naród ten otrzymawszy upragnioną wolność, musi umieć tak urządzić sobie życie, by czuł się prawdziwie swobodnym w tej nowej, krwią bohaterów wywalczonej Ojczyźnie.

Wszystko się ostoi, co na silnym, trwałym zbudowane fundamencie. Otóż życie powstających do czynu narodów winno opierać się mocno na podstawie św. Wiary i obyczaju iście katolickim. Dopiero taka budowla stawi czoło dzielnie wszechstronnej burzy złego... Jesteśmy Polakami. A że mimo półtorawiekowej niewoli nie zatraciliśmy Ojczyzny, zawdzięczamy to naszej katolickiej wierze... Ona była nam zawsze — w doli czy niedoli ową jutrzenką, rozpraszającą mgły zwątpienia. Ona spowodowała prorocze przepowiednie naszych wieszczów, co tak wyraźnie Zmartwychwstanie Polski wyśpiewali... Ona całej wyniszczonej Polsce dodaje otuchy, że to złe wnet przeminie, a nowa era ciszy i spokojnego rozkwitu życia nastanie... Dziś życie bez wiary, to jedna męka, gorycz i narzekanie... Z nią stają się lżejsze i najcięższe ciężary...

Dlatego dziś potrzeba nam tak wielu Apostołów Wiary św., którzyby jej zbawienne hasła najdalej podawali. Apostołem takim to dobra prasa, szczerze katolickie gazety i dzienniki, to pisma traktujące o Prawdzie-Bogu! Jednym z owych bojowników, to czasopismo „Polski Siew" (szkoda, że nie tygodnik), którego hasło „W Obronie Prawdy" przenika i oświetla dusze ludu naszego. Oby tylko ten lud-naród zechciał święcie ukochać swego Apostoła prawdy i pokoju, jakim słusznie zamianować mogę „Polski Siew". Daj Boże, by jak najwięcej prenumeratorów przybywało takim gazetkom, by każde sioło, miasteczko, czy osada polska, chlubić się mogła posiadaniem pism katolickich.

Oby Polska odrodzona zechciała ukochać św. Wiarę, co w ciągu tysiącletniego jej istnienia było dla niej ostoją, dźwignią i balsamem pociechy — Wiarę świętą, a wtedy jej żywot nowy, rozkwitający, bogaty w chwałę i pokoju oglądać będziemy — czego z całej duszy życzy swej Ojczyźnie Wał. Pasierb z Czarnej.

Dziecko.

Widziałem dziecko. Chata się rodzona
jego gruszanym otuliła gajem.
Białą się ścianą odśmiechała wzajem
zszarzałej korze drzew i okien łona
ku bystrym rzeczki podała korytom.
Z okien tych dziecko często ku błękitom
patrzyło blade i, jakby ze zdroja
piło z nich wielki sen nieskończoności.
Myślało o tem, jakby się najprościej
w niebieskie dostać szafiry wysoko...
Do rodzicielki swej biegło: „Ty moja
Matuchno — mówiąc — podnieś swoje oko
tam gdzie te chmurki, jak srebrne baranki
pasą się cicho, gdzie jaskółek wianki
we chmur radosnej trzepocą się zjawie —
I jeszcze wyżej swe oczy ciekawie
wzbij; kędy oprócz słońca nic już niema —
Ale ty swemi jasnemi oczyma
idź ponad słońce i odpowiedz szczerze,
czy tam naprawdę świat swój koniec bierze?"
Matka je wtenczas, jak duch niestroskana,
przed chatę wiodła i tam na kolana
dziecinę kładła i całując skronie
w górę mu obie wyciągała dłonie,
o Bogu świętej powiadała woli
i słów pacierza uczyła powoli. (St.)

Dobry pasterz.

Kapłan na wzór dobrego pasterza, zawsze powinien być gotów życie swoje na szwank wystawić za dusze ludzkie. Dnia 3 stycznia 1882 r., człowiek o dzikiem wejrzeniu, zatrzymał się wieczór po 7 godzinie przed plebanią w Saint-Ancons, wiosce ukrytej w górach Górnej Loary. Wiedziano, że się nazywa Piotr Mallet, ale na plebanii w Saint-Ancons nie znano go. Fuka — służąca zjawia się na progu.

— Ksiądz proboszcz? — rzekł.

— Jest. Co pan chce?

— Prędko Sakramenta. Pan Marcin z Regnac umiera, byk go pchnął rogiem.

Ksiądz proboszcz Rivet przyszedł, usłyszawszy rozmowę.

— Pójdę z tobą mój przyjacielu — rzekł.

I natychmiast poczciwy kapłan wziął woreczek, w którym schowane były Oleje św. Wsiadł na swego konia, owinął się w płaszcz i wyszedł.

— Niech ksiądz proboszcz przynajmniej dziś nie wraca, bo będzie śnieg padał — rzekła służąca.

Nieznajomy przerwał jej, mówiąc:

— Urządzi się tak, że ksiądz proboszcz prześpi się w Rognac.

I znikli obaj w nocnej ciemności.

Nazajutrz rano, może pół mili od wsi, na górskiej ścieżce, która wężykiem wije się nad przepaściami, wieśniacy znaleźli zwłoki proboszcza z Saint-Arcons. Leżały rozciągnięte na poprzek ścieżki z głową skrwawioną, okryte strasznemi ranami. Zacny pasterz uderzony był w głowę i zabity młotkiem. Zegarek ks. Rivet, tabakierka i naczynie ze świętemi olejami znikło.

Kilka dni potem, skoro Piotra Malleta schwytano, znaleziono u niego rzeczone przedmioty. Pokazało się dowodnie, że on był sprawcą tego świętokradzkiego morderstwa i skazano go na śmierć.

Nieszczęśliwy ten człowiek pałał nienawiścią do religii, którą gazety bezbożne i nierozumne rządy w nim podsycały. Dlatego też adwokat jego mógł wobec przysięgłych, zwracając się do ministra słusznie zawołać:

— Ci, którzy są obowiązani czuwać nad bezpieczeństwem obywateli, nie zawsze spełniali swój obowiązek; a gdy wielkie zbrodnie zgrozą i przestrachem napełniają społeczeństwo, czyż nie mamy prawa powiedzieć do tych co dzierżą władzę: Oto wasza sprawka! Wy każecie szydzić z kapłanów, wy ich skazujecie na publiczną pogardę, wy dozwalacie, aby ich wystawiono jako istoty nikczemne, jako zakałę towarzystwa ludzkiego... Ach nie sam zabójca jest odpowiedzialny...

Zresztą prześladowanie powinno być chwalebną cząstką kapłana według słów Syna Bożego: Jeśli mnie prześladowali, i was prześladować będą (Jan XV. 20). (Erb. Stund.).

KRONIKA.

Zwrot ku katolicyzmowi w Anglii. Podczas, gdy u nas coraz bardziej podnoszą głowę wrogowie Kościoła katolickiego, myśląc sobie, że zniweczą dzieło Boże na ziemi, zyskuje Kościół św. coraz liczniejszych zwolenników wśród okrzyczanych Francuzów i Anglików. Przytoczę ustęp z dziennika francuskiego „Liberte“, który bardzo chlubne świadectwo wystawia rozwojowi kościoła katolickiego w Anglii: W Anglii jest 17 biskupów z kardynałem Bourne na czele i 2,000.000 wiernych. Po wsiach i miasteczkach powstają wspaniałe świątynie — sam Londyn liczy 150 kościołów katolickich. Katolicy biorą bardzo czynny udział w życiu politycznem. W wielu miastach stoją katolicy burmistrze na czele — katolikiem jest wice-król Indyj, katolikami są ambasadorowie, generałowie i wielu wybitnych obywateli. Nawróceń na katolicyzm jest 10.000 rocznie. Znikły zupełnie przesądy względem wiary katolickiej. Antyklerykalizm już tam nie istnieje. W szkołach zaprowadzoną jest wszędzie nauka religii, wielu wybitnych księży powołano na katedry uniwersyteckie. Wielu nawróceń dokonała wojna wszechświatowa. Ciężko ranni oficerowie anglikańscy prosili często katolickiego księdza o pomoc duchowną, gardząc swoimi kapelanami; nieraz na śmierć zaopatrzony generał anglikański wysyłał list do żony z ostatnią wolą: „Pragnę, abyś Ty i dzieci zostały katolikami“. Na froncie angielskim było 600 kapelanów katolickich, samych Jezuitów jest 80. Ks. kardynał Bourne złożył na prośbę ministra wojny raz wizytę flocie, a trzy razy wojsku we Francyi, wszędzie przyjmowany po królewsku. Jest pewną rzeczą, że nowy świat zrodzi się z krwawiącego i dymiącego jeszcze zamętu.

Wydawnictwa katolickie.

W Krakowie wychodzi drugi rok miesięcznik religijny p. t. „Głos Eucharystyczny“. Jest to pismo religijne, mające na celu rozszerzanie czci dla Przenajśw. Sakramentu Ołtarza. Jest redagowane w ten sposób, ażeby mogło odpowiedzieć życzeniom kapłanów i wiernych. Jest ono dalszym ciągiem dawnych pism eucharystycznych „Adoracyi Przenajśw. Sakramentu“ i „Skarbu wierzących“. Zamieszcza wiersze i poezye eucharystyczne, rozmyślania o Najśw. Sakramencie, nadające się do publicznych i prywatnych adoracyi, artykuły pouczające, przykłady, opowiadania o cudach eucharystycznych, nauki katechizmowe, odnoszące się do Najśw. Sakramentu, przypomina praktykę częstej Komunii św., podaje przegląd najnowszych wydawnictw eucharystycznych, prowadzi kronikę ruchu eucharystycznego i t. d. „Głos Eucharystyczny“ zaczął druk żywota św. Paschalisa Baylon, patrona stowarzyszeń i dzieł eucharystycznych. Wszystkie zeszyty, które dotychczas się okazały, zawierały przynajmniej jeden odpowiedni obrazek. Okładkę zdobi piękny obraz, przedstawiający adoracyę Najśw. Sakramentu.

„Głosowi Eucharystycznemu“ udzielili łaskawie swego pasterskiego błogosławieństwa prawie wszyscy Najprzew. XX. Biskupi polscy. Jako jedyne pismo eucharystyczne na ziemiach polskich zasługuje na najszersze rozpowszechnienie i poparcie ze strony społeczeństwa polskiego, tak kapłanów, jak ludzi świeckich. — Obecnie, w chwili zmartwychwstania wolnej, niepodległej, zjednoczonej Ojczyzny, może już bez żadnych przeszkód rozchodzić się i rozszerzać we wszystkich dyecezyach polskich i stać się punktem środkowym i ogniskiem ruchu eucharystycznego na całym obszarze zjednoczonych ziem polskich.

Przedpłata na cały rok 1919 wynosi: 6 koron, 5 marek, 3 ruble.

Adres Redakcyi i Administracyi opiewa: Kraków, ul. Warszawska Nr 1.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST SAPIŃSKI.

Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie.